

Absolutnie Jubileuszowy X Rajd Starych Koni, Bieszczady 17 – 25.06.2011 r.

W roku pańskim 2011 Stare Konie przeżyły coś niezwykłego – rajd absolutnie jubileuszowy, bo X. Niewiarygodne, tyle lat przetrwała impreza w mało zmienionej postaci. Stare Konie wiecznie młode przedkładają tę formę urlopowania nad ciepłe morza, palmy i Hiltony. Rajd to poniewierka i nieustanna zmiana miejsc, długie godziny na końskim grzbiecie w upale, ulewie i błocie, słodkie niewygody wozowej deski, wspólne spanie – męskie chrapanie w wieloosobowych salach (ostatnio co prawda zmodyfikowane), długie Polaków rozmowy przy obozowym ognisku i



nieodłączne wino owocowe – czy jakakolwiek inna grupa zorganizowana preferuję taki model bezcennego urlopu, nieprzerwanie przez 10 lat?

17 czerwca spotkaliśmy się ponownie, a zjechali: Heniu, Renia, Andrzej i Ewcia po raz 10-ty, Zgaga, Staszka, Wołodia i Jurek po raz 9-ty, Maria po raz 8-y, Jola i Aldona po raz 7-y, Dorota i Majka po raz 6-ty, Gerard po raz 4 –ty, Ruda i Eta po raz 3-ci, po raz 1-szy Tomek i Etowy Paul. Miejscem startu był ładny ośrodek campingowy w małej, zagubionej w lesie wiosce Weremień koło Leska, a załoga dowodząca to jak co roku Józek, Artur i pan Tadziu. Natomiast w charakterze kontr-mastra pojawił się nowy człowiek - Heniu. Konie zastaliśmy te same co zwykle (nowym był młody Poligon), wszystkie w bardzo dobrej kondycji.

Pogodę zapowiadano nie najgorszą ale i nienajlepszą, ostatecznie nie doświadczyliśmy upału, ale też deszcze zbytnio nas nie nękały.



Gdyby podsumować ten 10-ty rajd pod względem wyjątkowych akcentów, to najbardziej wyjątkowa była ta magiczna cyfra. Poza tym wszystkiego było w uśrednionym wymiarze, a akcentem zasadniczym i punktem kulminacyjnym były

rocznicowe obchody.

Uwzględniając nasze wcześniejsze postulaty Józek zaprogramował po 2 noce w wybranych ośrodkach, skutkiem czego trasa było nieco krótsza niż zwykle i kręciliśmy się po mniej więcej znanych terenach. Za to mieliśmy więcej stabilizacji i odpoczynku w fajnych miejscach, a codzienne pakowanie i noszenie bagaży w te i we w te było mniej dokuczliwe. Jazd hard-corowych i leightowych było mniej więcej po równo, a gubienie się w lesie ani nie zdominowało wyprawy po bieszczadzkich bezdrożach, ani nie zostało bynajmniej wyeliminowane. Natomiast nie rozleciał się wóz i to był z pewnością akcent nowy i sympatyczny. Jak również nowym i sympatycznym akcentem były dwukrotne noclegownie z basenem i jacuzzi w bardzo wypasionych ośrodkach, coś zupełnie niesamowitego.

W **sobotę** odbyły się dwie odrębne jazdy bez użycia wozu, gdyż Artur balował na weselu. Jedni pojechali przed obiadem, drudzy po obiedzie, trasa była mniej



więcej ta sama, tyle że jedni zaczęli pętlę w lewo, a drudzy w prawo. Ponieważ w południe się zachmurzyło i deszcz wisiał na włosku, druga grupa galopowała przez większość trasy uciekając przed ulewą – co się tylko połowicznie udało. Trasą - na dzień dobry hard-corową – był błotnisty las u podnóża Gruszki z pionowymi ścianami małego

wąwozu, dwukrotne przekraczanie szerokiego Sanu pod Leskiem, las zwany Czulnia wzdłuż Sanu, mało przejezdne łąki i chaszcze, podjazd po błocie i w leśnym gąszczu na górę bez nazwy nad Weremieniem i zjazd trasą narciarską do naszej stancy. Jazda pozbawiła nas złudzeń że deser, czyli rajd jubileuszowy, będzie deserowy.

Ci co nie byli akurat na koniu, pojechali do Leska zwiedzać słynną synagogę i równie słynny kirkut usytuowany obok. Synagoga



powstała w 1654 roku i jeszcze przed wojną była użytkowana jako bożnica (Żydzi stanowili większość mieszkańców Leska). Jest jedyną synagogą bieszczadzką która się zachowała, prawdopodobnie dlatego, że Niemcy mieli tu swoje magazyny. Niestety nie zachował się oryginalny wystrój poza kilku detalami, obecnie jest to

Galeria Sztuki. Bieszczadzkiej. Natomiast kirkut to kilka tysięcy nagrobków częściowo widocznych wśród starych dębów i gęstych zarośli, a częściowo leżących pod ziemią. Obejść wszystkiego nie dało się, gdyż teren jest duży i mocno zarośnięty, a czas nas gonił.



Wieczorem szeryf dokonał oficjalnego otwarcia rajdu podczas galowej kolacji. Z okien jadalni patrzyliśmy na pasące się na stoku narciarskim nasze wierzchowce i po kolacji wyszliśmy w plener wykonać „wieczorny portret z koniem w tle”. O zmroku z wielką nostalgią obejrzelśmy film Andrzeja z pierwszego rajdu,

łza się w oku kręciła....

W nocy lało i **niedziela** wstała chłodna i dżdżysta. I grupa wsiadła dziarsko w



siodła i przyjemnym lasem nad Olchową i Dziurdziowem ruszyła do Średniej Wsi na miejsce biwaku. Wozowi pojechali szosą przez Hoczew, gdzie krótki postój urządzono pod domem znanego sprzed 2 lat rzeźbiarza – niestety nie było go w domu. Obejrzelśmy więc rzeźby na podwórku i ruszyliśmy dalej. Na wozie

popijając wino owocowe rozbiegaliśmy temat ważny życiowo, mianowicie seks w późnym wieku. Po długotrwałej debacie konkluzja była jedna: w temacie potrzeb musi panować sprawiedliwy podział chęci i oczekiwań.

Na postoju deszcz się rozsiąpił i bardzo dobrze robił gorący żurek z kotła.



Nafutrowani i rozgrzani udaliśmy się zwiedzić drewniany kościółek przy którym staliśmy, najstarszy drewniany obiekt sakralny w Bieszczadach (XVI w.). Niestety był zamknięty na głucho, jak również plebania. Obeszliśmy więc kościółek parę razy wkoło i wróciliśmy do koni, bo hasło do dalszej podróży padło.

II grupa przekroczyła San i mokrym, sennym lasem, cały czas w deszczu, ruszyła do znanej Berezki. Zaciągnęło się na dobre, ale mgły rozwieszone na drzewach i wszechobecna cisza ubarwiła ten przemarsz i po prostu było pięknie. Na

koniec pogalopowaliśmy po śliskiej łące w wysokich trawach, koniom rozjeżdżały się nogi i cudem nikt się nie wywalił.



Natomiast na I jeździe glebę zaliczyła Jaga i Gero. Jaga w czasie galopu przemieściła się z siodła na końską szyję i próba powrotu

w siodło nie powiodła się, co zaskutkowało kontaktem z glebą. Gero natomiast wywalił się z koniem, gdyż ten się szpetnie potknął na nierównościach. Nikomu nic się nie stało.



Pensjonat „Karino” w Berezce zastaliśmy mocno rozbudowany, przybył basen i jacuzzi. Stare Konie natychmiast gremialnie skorzystały z tych dobrodziejstw i wymoczyły nadwyrężone kości w ciepłych bąbelkach.



Obiad zjedliśmy w ekskluzywnej restauracji, natomiast chcąc posiedzieć w niej wieczorem napotkaliśmy na poważną niemożność. Nie można było mianowicie raczyć się własnym alkoholem, żadne pertraktacje nie poskutkowały. Ostatecznie własne trunki

wlaliśmy do szklanek po kompocie i każdy z kompotem w ręce przeszedł do sali obok, gdzie było bardziej kameralnie. Staszka nawet stoczyła batalię z kelnerką o swoją kompotierkę, gdy ta próbowała posprzątać ze stołu i pozbierać resztki obiadu, w tym kompotu. Ale ostatecznie zakupiliśmy w barze 2 butelki dobrego wina, gdyż kompot nie wystarczył na cały wieczór, ile można sączyć kompot.

Na koniec dnia poszliśmy starym zwyczajem na długi spacer, gdyż obfite posiłki należało sukcesywnie spalać. Każdy dobrze wie, że rajd konny to bardzo tucząca impreza.

Ranek **poniedziałkowy** wstał pochmurny, ale nastroje panowały niezmiennie gorące. Po obfitym śniadaniu w postaci szwedzkiego stołu właściciel obiektu oprowadził nas po...holu głównym. Okazało się bowiem, że cała historia obiektu jest zawarta w malowidle na suficie, ale do tego potrzebny jest przewodnik.

Landszafty sufitowe bez komentarza są po prostu landszaftami. Co prawda komentarz nie dodaje im artyzmu, ale chociaż tłumaczy jak można było elegancki pensjonat tak z-kiczowacić. Posłuchaliśmy pana szefa z przyjemnością.

Generalnie pensjonat „Karino” to miejsce ekskluzywne z jednej strony i przyjazne dla strudzonego wędrowca z drugiej, a dziewczyny w recepcji rozplýwały się we wspomnieniach, jak to „panie z waszej grupy odtąńczyły 2 lata temu kankana, pamiętamy was, pamiętamy”.



W końcu osiodłaliśmy konie, zapakowaliśmy wóz i ruszyliśmy w drogę. Celem podróży była Wołkowyja, a popas zaplanowano na starym miejscu w Bereźnicy Wyżnej. Kto akurat podróżował wozem, miał okazję obejrzeć cerkiew w Bereźnicy, obecnie kościół - niestety również zamknięty na głucho i również nie udało się wejść do środka. Może następnym razem.



Na popasie raz straszyl deszcz i czarne chmury, raz cieszylo słońce i orgia storczyków. Wkoło rozciągały się filmowe panoramy, aż po główne, bieszczadzkie połoniny. Wcinaliśmy kapuchę z kielbasą, co to miała być bigosem, tylko zapomniano to w porę zrobić i warzono go rano w

pośpiechu. Ale na powietrzu wszystko smakuje wybornie, więc opróżniliśmy kociołek do dna. Szeryf tradycyjnie wygłosił wykład zootechniczny na temat zdolności ogierów do wiadomych rzeczy, bo dokszałcać się należy nieustannie, w każdym wieku i okolicznościach.

Równie owocnie i naukowo przebiegało dalsze podróżowanie wozem. Swego czasu ustaliliśmy, że na posesji Dorotki powstanie nowoczesny geriatryk dla Starych Koni, bo fajnie tak latami rajdować, ale czas płynie i należy pomyśleć o przyszłości. Teraz temat sam się



nawinał, gdyż ktoś tam zapytał, czy są jeszcze wolne miejsca. Wiadomo że wolnych miejsc dawno nie ma, ale Dorotka zauważyła, że przecież coś się w końcu zwolni, więc listę rezerwową można tworzyć. Dotyczy to też zagranicznych, bo o nich dziś spytano - zagraniczny nie zagraniczny, jak Stary Koń to swój. Dyskusja nabrała rozpędu i przybrała formę dwutorową. Przysłowiowej oliwy dolewały szampany zakupione w przydrożnym sklepie, z konieczności zastępujące wino owocowe,



którego zabrakło. Po pierwsze ustalono nowe punkty regulaminu, uwzględniając zagranicznych i w ogóle problem tłoku, bo podwórko Dorotki nie jest z gumy. Po drugie należałoby przystąpić do jakiegoś programu unijnego, bo apetyty na luksusowe rozwiązania rosną, a skąd brać kasę na te wszystkie guziki

samosterujące. Poza tym jak się w toku dyskusji okazało, każdy ma nadzieję na samodzielny apartament, najlepiej połączony zadaszeniem z całością, więc emerytury tego nie załatwią. Niestety nie doszliśmy do ostatecznych podsumowań, gdyż szampan się skończył i dojechaliśmy do Wołkowyji.

Powitał nas pensjonat „Rancho” z przemiłą obsługą. Pokoje o kolonijnym standardzie nie burzyły dobrego wrażenia, gdyż lokowano nas w pokojach po dwie osoby, a pani szefowa dogadzała jak mogła.



Po obiedzie poszliśmy na spacer nad Solinę, a wieczorem zasiedliśmy przy ognisku śpiewając i zagryzając sponsorowanymi łakociami, że o trunkach nie wspomnę.

We **wtorek** rano zeszliśmy się w kolonijnej stołówce na kolonijny śniadaniu.

Powrócił temat geriatryka, widocznie mocno zakorzenił się w głowach. A jak wiadomo czas leci po swojemu, czyli szybciej niż byśmy chcieli, więc trzeba kuć żelazo póki gorące. Nurtował poważny problem – czy mają to być osobne pawilony połączone zadaszonym korytarzem, czy może jeden duży dom z osobnymi pokojami, czy wreszcie boksy jak w stajni, żeby wszyscy się jednak widzieli. Ponieważ jeszcze parę rajdów mamy w planie, więc jest teoretycznie czas na dopieszczenie planów i

doprowadzenie ich do satysfakcjonującego finału. Najważniejsze żeby znalazł się kierownik budowy i znawca przepisów unijnych, to zadanie numer 1. Kogoś nawet mamy na myśli.



Po debacie wzmocnieni nadzieją i kaloriami ruszyliśmy do koni, a pogoda ustaliła się na piękną. Ruszyliśmy na piknik do Bukowca, gdzie nad rzeką Solinką rozpaliliśmy ognisko. Wkoło zieleniły się wiosenną świeżością wzgórza, konie parskwały w wysokiej trawie, jaszczurki ganiały po

suszących się siodłach, w ogniu skwierczały kiełbaski. Tomek pociągnął serię przyśpiewek weselno-góralsko-śląskich, zrobiła się istna sielanka. Ten i ów zachrapał pod krzakiem, nie chciało się wracać. Ale w końcu czas było to zrobić, bo kolonijny obiad czekał. Wracaliśmy do Wołkowyji, gdyż spaliśmy tam 2 noce.



Po obiedzie poszliśmy w podgrupach na daleki spacer spalać kalorie, odurzały zapachy skoszonej trawy i czarnego bzu. Wieczorem oglądaliśmy film australijski Andrzejowej produkcji, jak zwykle był to wesoły wieczór.

W **środe** ruszyliśmy w dalszą drogę, celem był Baligród, a miejscem postoju nieistniejąca wieś Radziejowa. Dzień był znowu piękny, słoneczny i bardzo ciepły, obie grupy jak również wozowi mieli niezwykle malownicze trasy.

I grupa konna pojechała górami nad szosą Wołkowyja – Baligród, wóz pojechał drogą szutrową przez las. Konni pokonywali gęste knieje, gdzie niskie



gałęzie tłukły po kapeluszach, a chaszcze i stromizny stanowiły standard. W końcu wyjechali na malowniczą połoninę w masywie Lipowca, którą po chwili złapania oddechu pokonali długim galopem. II grupa pojechała po południu trasą dziewiczą, której Józek jeszcze nie znał, po drugiej stronie wspomnianej szosy. Dużą stromizną wspięli się na Berdo (890 m), potem częściowo niebieskim szlakiem, a częściowo błędząc „na czuja”, dotarli do przysiółka Bystre, ostatni kawałek pokonując stromym zjazdem na dół.



Natomiast środkowodzienny postój miał miejsce w totalnej głuszy i na bezludziu, w nieistniejącej wsi Radziejowa, po której została tylko tabliczka z nazwą. W pobliżu tego miejsca istniała kiedyś wieś Tyskowa, a za przełęczą Hyrcza, niedaleko stąd, życie kwitło we wsi

Łopienka. Wszystkie 3 wsie zostały w czasie powojennych wysiedleń spalone lub całkowicie zniszczone i nie ma po nich śladu, nie licząc resztek podmurówek cerkiewnych, paru metalowych krzyży w trawie i tabliczek z nazwą. Wyjątek

stanowi samotna cerkiew w Łopience, którą zwiedzaliśmy 3 lata temu, nie widoczna z naszego obozowiska. Tym razem nie buszowaliśmy po okolicy w poszukiwaniu śladów przeszłości, gdyż należało odpocząć, a żmije nie śpią. Na miejscu zastaliśmy starą baczówkę, której cień pozwolił odetchnąć od upału i koło której rozwinęliśmy biwak. Zaraz uruchomiono polową kuchnię i po chwili wcinaliśmy gulasz z kotła, oganiając się od małych, czarnych, natrętnych motyli, które naprzykrzały się niemiłosiernie.



Tego dnia glebę zaliczyła Dorota, jadąca na Egibarze. Pędząc galopem przez knieje koń potknął się na dziurach i w czasie mało skutecznych prób odzyskania pionu Dorotka miała do wyboru dwie opcje: gleba lub rozwój wydarzeń. Wybrała to pierwsze.

Zmordowani atrakcjami długiego dnia i duchotą, z wielką przyjemnością zacumowaliśmy późnym popołudniem w wypasionym hotelu „Bystre” we wsi Bystre (przyczółek Baligrodu). Dostaliśmy porządne pokoje z wygodami, smaczny obiad i basen na deser. Tego jeszcze nie było, rajd z basenem. Ale wszystko na tym świecie ewoluuje, więc trzeba iść z duchem czasu. A wiekowe kości wytrzępane na bieszczadzkich bezdrożach bardzo dobrze się sumują z chłodną, krystaliczną wodą hotelowych basenów.

Wieczorem zasiedliśmy przy ognisku, popłynął „śpiew od czoła”. Po chwili z przerażeniem odkryliśmy, że w programie jest grillowana kiełbacha, a po bogatym obiedzie każdy ledwo się ruszał. Cóż było robić, każdy zjadł ile mógł, nawet jeśli nie mógł. Obżarstwo jest może grzechem, ale czasem nie do uniknięcia.



Tą czerwcową noc ubogaciły roje robaczków świętojańskich, które stanowią nieodłączną okrasę naszych rajdów i bez nich świat byłby dużo marniejszy.

Nastał **czwartek**, Boże Ciało, Noc Świętojańska i Obchody Jubileuszowe, czyli trzy w jednym. Dzień zaczęliśmy podstawowym nurtem, to jest wyprawą konną na biwak. Celem wyprawy było Jezioro Bobrowe u podnóża Chryszczatej, w sercu Ciśniańsko-Wetlińskiego Parku Krajobrazowego.

I grupa konna dosiadła konidła i ruszyła na podbój masywu Huczka i Chryszczatej. Najpierw dojechaliśmy lasem do nieistniejącej wsi Huczvice, całkowicie zniszczonej w czasie wysiedleń. Huczvice to teraz kamieniołom i odkrywka fliszu karpackiego, którego pionową ścianę widzieliśmy z siodeł przez sosnowe prześwity. Są to najstarsze skały fliszowe w polskich Karpatach. Minęliśmy kopalnię i posuwając się przez upiorne błoto i koleiny, raz stromo w górę, raz stromo w dół, osiągnęliśmy w końcu jako tako prostą ścieżkę. Wypatrzyliśmy na niej ślady wilka i dłuższy czas jechaliśmy po nich, rozglądając się za tym, do którego należały. Samego wilka co prawda nie wypatrzyliśmy, ale musiał gdzieś siedzieć za krzakiem, o czym świadczą następne zdarzenia. Otóż po wyjeździe na łąkę Józek zarządził szalony galop, ale wkrótce łąka się skończyła ścianą lasu i konie z impetem wpadły w jego czeluści. Wtedy spłoszył się Józkowy Bojar, za nim panika zawładnęła Berdanką i dalej dyskomfort udzielił się następnym. Na szczęście leśna ściana była tak gęsta, że nie pchaliśmy się w nią, ale odwrót spowodował, że wystraszone koniska utwierdziły się w swoich racjach - skoro zawracamy, to znaczy że jest powód, na pewno w krzakach siedzi koniojad. Rozfurczały się wszystkie i podenerwowały. Po jakimś czasie to minęło, ale jak nic w lesie siedział wilk, a może cała wataha.



Przez jakiś czas przedzieraliśmy się przez płataninę gałęzi i głębokie rowy, aż w końcu znalazła się ścieżka i dotarliśmy na biwak.

A na biwaku zastaliśmy istny świąteczny festyn. No dobra, nie były to może dzikie tłumy, ale na malej plaży zagnieździli się wędkarze, rowerzyści i pederasci



(pedałujący pieszo). Obstalowaliśmy dla siebie kawałek przestrzeni koło kapliczki Św. Huberta i w symbiozie z resztą świata zaczęliśmy biesiadę.

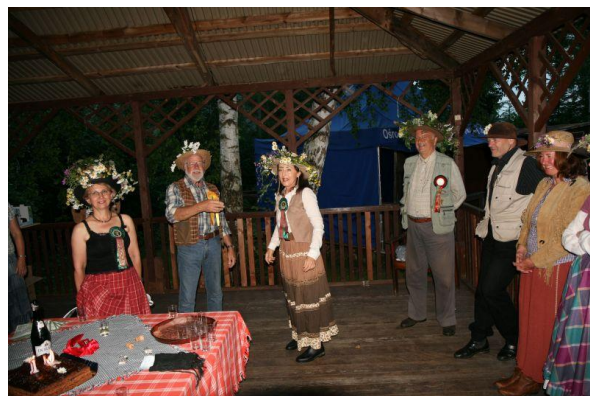
Po powrocie do Bystrego, mimo mżawki i mokrych łąk dziewczyny ruszyły na zbiór kwiatów, gdyż Noc Świętojańska była kwestią godzin. W kolorowych wiankach zasiedliśmy do świątecznego obiadu w hotelowej restauracji i zmieniając nieco tradycję zakończyliśmy posiłek „zdrowiem konia” ku uciechu innych gości. Następnie udaliśmy się na miejsce piknikowe, gdzie wkrótce zapłonęło ognisko i zaczęły się obrzędy. Na te ważne jubileuszowe wianki dojechał nawet Jerry z za wielkiej wody, a podróż odbył daleką i wyczerpującą. Może nie tak bardzo wyczerpującą była jej część na odcinku forsowania oceanu i połowy Europy, to pestka. Schody się zaczęły gdy podwieszony przez dobrych ludzi z Krosna do rynku w Baligrodzie zaczął pokonywać ostatni odcinek pieszo. Wędrówka asfaltową szosą do naszego hotelu, który co prawda adresowo przynależy do Baligrodu, ale jest to jednak 6 km, dla kogoś kto najdłuższe marszruty odbywa z garażu do własnego samochodu – była wielkim wyzwaniem.



Obrzędy Jubileuszowe zaczął szeryf przecięciem wstęgi i wpuszczeniem gości pod wiatę, gdzie na stole stały szampany i udekorowane torty. Szeryf zagaił i szampany odbito. Spełniliśmy toast, Heniu życzył wszystkim rajdowania do końca świata. Następnie o głos poprosiła rajdowa kronikarka

Formista i jako jednoosobowa Kapituła Medalu za Wytrwałość uhonorowała tych, którzy zaliczyli wszystkie rajdy (lub prawie wszystkie). Renia wyliczyła, że przez nasze rajdy przewinęło się ponad 40 osób. Jednak tylko 4 osoby zaliczyły wszystkie 10 rajdów, co jest wielkim wyczynem i nie można było tego faktu nie zauważyć i głośno nie wyartykułować. Medalem własnego pomysłu i własnej produkcji Formisia

uhonorowała: Henia, Renię, Andrzeja, a jej samej medal przypiął szeryf. Ale 9 rajdów to też osiągnięcie, tym bardziej że tylko ważne okoliczności nie pozwoliły tym osobom zaliczyć wszystkich. Medale za 9 rajdów otrzymali: Zgaga, Staszka, Wołodia i Jurek medialny. Wreszcie 8 rajdów to też nie było co, to jakby III miejsce na pudle - zaliczyła je Marycha. Nie dałoby się jednak dokonać tych wyczynów, gdyby nie ci co rajdy przygotowali, poprowadzili i wytrzymali z nami tyle czasu. Józek – dzielnie zniósł nasze rosnące wymagania, te pokoje dwuosobowe, te ciągle postoje na trasie celem sesji fotograficznych, te rozmaite zachcianki, które trudno wymienić. Artur – co rajd to zdemolował wóz, a to hamulce czy ośka poszły, a to rozleciał się cały, kto by miał cierpliwość wiecznie go remontować i od nowa ruszać w trasę. Pan Tadeusz – te nasze tony bagaży, wieczne ich ładowanie i rozładowywanie, te laptopy i gitary, te nieustanne zastanowienia „po co wam tyle kłopotów”. Kto by to wszystko wytrzymał, a końca nie widać. Więc medale także się należały. Zgaga dodatkowo wręczyła Józkowi specjalnie wydrukowany śpiewnik z naszymi rajdowymi przebojami, łącznie ze wszystkimi hymnami, które szeryf na kolanie tworzył na zakończenie każdego rajdu.



Po części bardzo oficjalnej wszyscy uczestnicy Jubileuszu otrzymali pamiątkowe kubki z rajdowymi pejzażami i odpowiednim napisem, można było

dowolnie wybierać wśród 6 różnych projektów. Wówczas przystąpiliśmy do konsumpcji ciast, bo ślinka ciekła. Ciasta upiekła Józkowa żona i były bardzo pyszne. Zasedliśmy dookoła ogniska i popłynął gromki śpiew, a rozmaite trunki krążyły z lewa i prawa. Jeszcze torty nie poddały się procesom trawiennym, a już zapraszano do grilla i innych smakołyków. Najedliśmy się znowu niemożliwie.

Nie może być Jubileuszu bez wspomnień, 10 lat to kupa czasu. Późnym czerwcowym wieczorem, gdy ogień płonął i drwa syczały, zaczęły się wspominki.



Kronikarka rajdowa przygotowała wyciąg z wszystkich 10-ciu rajdów, czytając najbardziej znaczące zdarzenia, śmieszne, niezwykle, wesole i smutne. Przypominaliśmy sobie miejsca, ludzi, konie, osobliwości przyrodnicze i historyczne, dobrą zabawę i wypadki nie miłe. Wszyscy

włączyli się do tych wspomnień, rozwijając poszczególne punkty i dodając własne refleksje. Zrobiło się rzewnie i nostalgicznie, ale też miło było skonstatować, że tyle przeżyliśmy. Żeby się totalnie nie zasmęcić dwie wesole kowbojki odtńczyły taniec zulu-gula ku pokrzepieniu serc.

Po północy ruszyliśmy do rzeki zwodować wianki. Ciemno było jak nie powiem gdzie, jedna latarka z trudem oświetlała drogę i tylko wybrańcom. Józek wiódł nas po dziurach i wertepach, a ponieważ z pionem u tego i owego różnie było, więc było mroząco krew w żyłach. W końcu nie znajdując żadnej wody zawróciliśmy pod hotel i poszliśmy w drugą stronę, namierzając wreszcie most na rzece Jabłonce. Rzucone w ciemną otchłań



wianki wyrwały z impetem w stronę Bałtyku, co dobrze rokowało, tym bardziej że drogę do przebycia miały nie lada jaką. Jabłonka uchodzi do Hoczewki, Hoczewka do Sanu, San do Wisły i dopiero gdzieś tam Bałtyk. Taki rejs wiankowy gwarantuje szczęścia bez liku na tym i na tamtym świecie.



W **piątek** przy niezłej pogodzie ruszyliśmy z powrotem do Weremienia. Tego dnia mieliśmy do pokonania najdłuższą trasę, więc pokonywaliśmy ją głównie galopem. Jeden i drugi odcinek trasy był niezwykle malowniczy, z przewagą piękna na pierwszej grupie i przewagą galopu na drugiej. Prawdę powiedziawszy

druga grupa galopowała na każdym skrawku w miarę płaskiego terenu, a na łąkach konie szorowały brzuchami po trawie. To iż nikt się nie wywalił, jest zasługą dobrze ułożonych koni do tego typu użytkowania i niezwyklej ich równowagi, osiągniętej z biegiem kolejnych rajdów.



Pierwsza grupa jechała z Bystrego lasem u podnóża Kiczery, Szczabego, masywu Lisowca, przez wsie Mchawa, Cisowiec, Zahoczewie. Trasa drugiej grupy to lasy nad Nowosiólkami i Dziurdziowem, w tym ostatni odcinek pokrywający się z trasą I

grupy w niedzielę.

Postój na lunch mieliśmy we wsi Nowosiółki pod muzeum przyrodniczo-łowieckim „Knieja”, które nie omieszkaliśmy spenetrować. Zwiedziliśmy też kościółek w Nowosiólkach, który ma niezwykłą historię. Otóż w latach 70-tych mieszkańcy wsi bezskutecznie zabiegali o pozwolenie na budowę świątyni, w końcu postanowili wybudować kościół bez zgody. Przygotowano elementy drewniane w częściach w odległych warsztatach, natomiast na parceli przeznaczonej pod kościół posiano kukurydzę. Gdy kukurydza urosła, pod jej osłoną wylano fundament i w jedną noc sklecono drewniane elementy w całość. Pracowało przy tej niezwyklej budowie prawie pół



tysiąca ludzi, przyświecali sobie latarkami kieszonkowymi, tempo pracy było zadziwiające. Czujki na szosie dawały znać, kiedy coś jechało i należało latarki wyłączyć. O 9.00 pojawiła się milicja i nakazała przerwanie prac, ale właśnie szklono okna i nikt poleceń władzy nie słuchał. O 11.00 odprawiono pierwszą mszę św. W tej sytuacji nikt nie odważył się kościółka rozebrać i stoi do dziś. Niestety obity panelami stracił swój urok, ale historii nikt mu nie odbierze.

Wieczorem w Weremieniu siedzieliśmy na tarasie i raczyliśmy się ostatnią kolacją. Padło wiele ciepłych słów, wszyscy dziękowali wszystkim za wszystko. Długo debatowano nad datą przyszłorocznego rajdu, w każdym razie Józek ma się szykować. Być może do tego czasu wybuduje własny ośrodek, nad czym pracuje i będziemy mogli urządzić w nim huczną parapetówkę.

Tego wieczoru dominowała główna refleksja i motyw przewodni – gdzie ten czas tak pędzi? Dlaczego tak pędzi? Tydzień minął jak pstryknięcie palcami, dopiero przyjechalіśmy, już wyjeżdżamy.

Czasie, zwolnij.....

